

Andrzej WOŁOSEWICZ
Uniwersytet Warszawski

Krytyka w ogniu krytyki – tylko fakty

Swoją wypowiedź dzielę na 4 części. W I przywołuję sygnalizowane w tytule fakty. W II wskazuję, gdzie – moim zdaniem – rwie się nasza komunikacja dotycząca krytyki literackiej. W III próbuję odpowiedzieć na pytania: co w takim razie robić? Co ja robię? A w IV mierzę się z problemem: czy można nauczyć/nauczyć się roboty krytycznej? Czy możemy stworzyć model „maszyny krytycznej”?

I

Z powodów zrozumiałych (tekst konferencyjny nie może być dłuższy niż może) ograniczam się do 5 przykładów, które – mam nadzieję – będą stanowić reprezentatywny materiał dla tego, co chcę pokazać i powiedzieć.

FAKT PIERWSZY. Katarzyna Janowska opublikowała tekst zatytułowany *Republika niepodległych nisz*¹. Tekst ten jest przedrukiem tekstu Autorki z „Polityki” sprzed lat (z 2005 r.). Dla precyzji wyводу dodajmy, że: teksty różnią się:

- a) zdaniem początkowym, otwierającym,
- b) wyboldowaniem zdania „Skąd w rodakach taki pęd do zapelniania papieru mową wiązaną?”,
- c) uzupełnieniem (w tekście z 2011 r.) zdania „Snob, który lubi być na czasie, zapamięta, przynajmniej na chwilę, nazwisko Różyckiego, laureata Nagrody Kościelskich (2004 r.)” o dalszy ciąg: „czy Tkaczyszyna-Dyckiego, laureata nagrody literackiej Nike (2009 r.)”.

¹ K. Janowska, *Republika niepodległych nisz*, „Niezbędnik Inteligenta” (dodatek tygodnika „Polityka”, wydanie specjalne) 2011, nr 1, s. 26–31.

Te zmiany i uzupełnienia świadczą, że nad tekstem pracowano, ale to niewiele jak na tekst analityczny o 5 lat późniejszy od poprzedniego. Czyżby nic się przez ten czas nie zmieniło? Żadnych (poza wspomnianym Takczyszynem-Dyckim) nowych nazwisk na poetyckim rynku? Według Janowskiej tyle, że do 6 wierszy pomieszczonych w tekście z 2005 roku dołączono 2 wiersze Tkaczyszyna-Dyckiego, a z opisu wierszy zniknęła uwaga, że „wyboru wierszy poetów młodego pokolenia dokonał na naszą prośbę krytyk Piotr Śliwiński”. Czyżby dlatego, że Śliwiński zauważyłby więcej zmian niż Janowska? Nie wyzłościłbym się, nie mam nic przeciwko przedrukowi i powtórzeniom, bo w czasach rozgardiaszu kulturowego (by być delikatnym) warto docierać do odbiorcy różnymi kanałami i po wielokroć, sam tego nie unikam. Idzie tylko o rzetelność, więc po pierwsze trzeba wskazywać pierwodruki, po wtóre – zauważać zmiany, jeśli takowe następują, i po trzecie wreszcie – nie traktować odbiorcy jak geriatrycznego pacjenta o daleko posuniętym zaniku pamięci. Dowodem zupełnego lekceważenia jest kompletne milczenie w odpowiedzi na moje uwagi zgłaszane tak do redakcji „Polityki”, jak i Janowskiej. A przecież nie o mnie tu chodzi i nie domagałbym się drobnego choćby sprostowania i przyznania się do błędu, gdyby nie pompatyczna nazwa dodatku „Niezbędnik Inteligenta”. Zbędny taki niezbędnik. Gdy nagłośniłem ten problem na portalu, z którym na stałe współpracuję, też prawie nikt się tym nie przejął. Prawie, bo zarejestrowałem jeden głos – cytuję z pamięci – „Pan, Panie Wołosewicz, mądrzysz się, że się zajmujesz literaturą, a sam robisz błędy” – nie wytknął mi co prawda, jakie, ale to zupełnie możliwe, że robię, wcale się przed tym nie uchylam. Jednak *błąd* to coś innego niż wprowadzanie w błąd! (Dla „poratowania” opinii o Katarzynie Janowskiej chcę powiedzieć, że późniejsze jej działania, ze sztandarowym szefowaniem TVP Kultura, należy ocenić lepiej niż dobrze).

FAKT DRUGI. Aleksander Nawrocki pisze we wspomnieniowym tekście o Krzysztofie Gąsiorowskim: „A teraz została tylko legenda. I wiersze, niektóre niezwykle, godne podziwu i laurów. Zwłaszcza ten ostatni, który cytuję: wiersz-spowiedź-pożegnanie-testament”². Chodzi o wiersz *Abym*. Warto go przytoczyć:

Abym – zdążył
wysupłał się
z zobowiązań, przebrnął zaległości, dopisał,
skrótcił, wyrzucił
poczęte książki, zaciągnął nowe
długi i miłości,
przemyślał kilka podejrzeń
co do istoty rzeczy, przypomniał sobie
przeszłe, a nawet przebiegłe kobiety...
– musiałbym chyba być bożą trzodą
ośmiornic,

² A. Nawrocki, *Krzysztof Gąsiorowski jakiego znałem*, „Poezja Dzisiaj” 2012, nr 90, s. 100.

którym obcy jest Grzech Pierworodny,
grzech osobności i skończoności;

które nie śpią, nie jedzą;
za to, popijają morze i niestrudzenie
kartkują falę za falą.

O Gąsiorowskim piszę doktorat, znaliśmy się przez ostatnie 10 lat jego życia, należę do nielicznych admiratorów jego twórczości, jestem jedną z trzech osób (obok Andrzeja Zieniewicza i – nieżyjącego już niestety – Andrzeja K. Waśkiewicza, o którym jeszcze będzie mowa), które o twórczości Gąsiorowskiego pisały. Krzysztof półtora roku przed śmiercią, po operacji, stracił właściwie umiejętność mówienia, trudno było z nim się porozumiewać inaczej niż pisząc na kartkach, stracił też chęć i ochotę, a i po części możliwości, do korespondencji mailowej, przez telefon był praktycznie niezrozumiały – wszystko to dotknęło poetę, dla którego słowo, mowa, możliwość rozmowy były podstawowym żywiołem. Należałem do wąskiego grona osób, które odwiedzały go w tamtym czasie, nie ze wszystkimi chciał się też komunikować (choć słowo, to w świetle wcześniejszego opisu jego osobistej sytuacji, jest bardzo na wyrost, może też dlatego ograniczał swoje kontakty). Po śmierci Krzysztofa rozpuściłem kwerendę wśród osób, które go odwiedzały (m.in. Marek Wawrzekiewicz, Bohdan Wrocławski, Leszek Żuliński), by nie przegapić czegokolwiek, jeśli coś w tym czasie (między operacją a śmiercią) napisał. Cisza, nic, nikt nic takiego nie widział i nie wiedział. Jakie było moje zaskoczenie, gdy przeczytałem u Nawrockiego „[...] została tylko legenda. I wiersze [...]. **A zwłaszcza ten ostatni** [podkreśl. – A.W.], który cytuję [...]”. Czy można czegoś więcej spodziewać się od losu? Czytam jeszcze raz i... coś mi nie pasuje. Przecież ja ten wiersz znam. Pamięć ludzka jednak jest zawodna, więc sprawdzam i faktycznie, rok 2005, tomik *Gemmy w kości policzkowej*, strona 51. Dlaczego Nawrocki dopuścił się takiego intelektualnego nadużycia? Nie umiem dociec. Pytany, nie odpowiada. Zaczepiony przez mnie na portalu www.pisarze.pl uparcie milczy. Chciał zabłysnąć przed swoimi czytelnikami? Że on, proszę bardzo, do ostatka przy Krzysztofie, choć, jak pisze: „Czy się lubiliśmy? To nieważne. Byliśmy z innych planet”. Rzeczywiście nie wszystko jest ważne, ale ważne jest, by nie dopuszczać się kłamstwa, i to czym kosztem? Nieżyjącego już poety? Po co? Przecież przywołanie takiego *śmiertelnego* wiersza napisanego wiele lat przed śmiercią ujmę by Nawrockiemu nie przyniosło, spokojnie mógł go przytoczyć, nie wprowadzając czytelników celowo w błąd, nie kłamiąc. Wstyd! Piszę o tym dlatego, że mierzi mnie takie zachowanie, tym bardziej zachowanie redaktora naczelnego pisma, które chce pretendować do ważnego literacko miejsca na mapie naszej kultury³.

³ Dość powiedzieć, że z okazji 100 numeru „Poezji” odbyła się podczas Warszawskiej Jesieni Poezji 2013 uroczysta feta na Zamku Królewskim, że Nawrocki zadbał o reklamę tego wydania nawet na stronach internetowych Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

FAKT TRZECI. Zacytujmy fragment opinii: „Specjalnie zostawiłem je na koniec, niech wybrzmia, abyś, Czytelniku, nie został z przekonaniem jakiegokolwiek nierównowagi między temperaturą moralną, polityczną, cywilizacyjną a poetycznością, świadomością poetycką i myślą, bo wiersze Sokołowskiego są wierszami intelektualnymi. Sprząc emocje i intelekt w poetyckim słowie i zaprząc je do zadań fundamentalnych dla naszego prze-TRWANIA udaje się nie-licznym. Sokół do nich należy. Obok Norwida. Nie przesadzam. Biorę pełną intelektualną i krytyczno-literacką odpowiedzialność za to zestawienie”. Brzmi? No, brzmi. Prowokacja? Niekoniecznie. To zakończenie mego wstępu do książki Wiesława Sokołowskiego *Pieśń o Garocie. Panoptikon*⁴. Napisałem go w 2008 roku i nadal podtrzymuję swoją opinię. To, co mnie tutaj interesuje, to jej trzy przygody. Najpierw ta, że gdy znajomi literaci, pasjonaci literatury, krytycy literaccy zobaczyli, co napisałem, zakrzyknęli jak jeden mąż, że przesadziłem, ale... żaden nie zdobył się na polemikę, druzgocącą krytykę, odpór itd. Nie dlatego, żeby mnie oszczędzić, tylko dlatego, że... wymagałoby to poznania twórczości Sokołowskiego. To już lepiej przemilczeć, przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie może kogokolwiek porównać do Norwida! Nie ma nawet co czytać tego Sokołowskiego, przy takiej opinii, po co? Sokołowski obnosi więc swoją książkę z moim wstępem wśród niedobitków i jeszcze żyjących pogrobowców Szlaku (Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia w Warszawie⁵) i tyle. A że tekst i moja opinia *sprawia kłopot* najlepiej świadczy obawa Bohdana Wrocławskiego przed drukowaniem tego tekstu na www.pisarze.pl, w końcu internet jest bardziej nośnym medium niż Sokołowski w roli autora-listonosza. Wrocławski wcale nie chciał wystąpić w roli cenzora, daleki jest od tego, o czym zaświadczały wszelkie perypetie, z jakimi boryka się na swoim portalu. (Wiem, co mówię, bo współpracujemy od lat). On chciał tylko oszczędzić mi *rozszarpania*! Ja jednak, przekonany mimo upływu lat o słuszności swojej opinii, powiedziałem, że zaryzykuję. I... nie mam żadnych, najłżejszych nawet zarpań, nie mówiąc o rozszarpaniu. I wcale się z tego nie cieszę! Naszej krytyce literackiej brakuje sporu, ważnego sporu, nie mówię o notorycznych utarczkach kilku niezbyt lubiących się osób. Czyż taka opinia, jak ta o Sokołowskim, niezależnie od tego, kto ją wygłasza (nie idzie przecież o mnie), nie jest dobrym punktem zaczepienia do dyskusji? Ja bym od razu tak zrobił, ale przecież nie będę polemizował z samym sobą⁶.

⁴ W. Sokołowski, *Pieśń o Garocie. Panoptikon*, Skierniewice-Rawka 2009.

⁵ Jedną z jego książek, *Niepokorni Szlaku Królewskiego*, właśnie tego dotyczy.

⁶ Zamieściłem też ten tekst w „Myśli Literackiej”, dodatku literackim tygodnika „Myśl Polska” i też nikt nie zareagował, chociaż prawicowe media są dość dokładnie „lustrowane” przez przeciwników politycznych, czego najlepszym dowodem był swego czasu dość kąśliwy tekst w „Gazecie Wyborczej” na stałą autorkę faktycznie słabych wierszy drukowanych tam przez nią z regularnością wartą lepszej sprawy (a przynajmniej lepszych tekstów!).

FAKT CZWARTY. Na swoim blogu krytyk literacki, Leszek Żuliński, dobry – jak mu się chce – krytyk, umieścił był następującą informację: „Znacie profesora literatury Bogusława Bakulę? No, może niektórzy – postać to mało znana. Ale – jak by nie było – profesor. Otóż uczelnia w Słupsku przygotowuje konferencję literacką. Pewna kandydatka na referentkę zaproponowała tekst o Andrzeju K. Waśkiewiczu. Tekst został przez Pana Profesora odrzucony. Uzasadnienie było następujące: ten artykuł jest o „słabym poecie i onegdaj nadproduktywnym krytyku literackim [...] obsługującym w latach 70.–80. wszelkie możliwe tytuły literackie i okołoliterackie”⁷. No! Może proponowany tekst był słaby, nie wiem tego, ale ta ewentualność gaśnie wobec kuriozalnej argumentacji profesora. Waśkiewicz słabym poetą? Boże, to już naprawdę trzeba się nie znać na poezji, żeby coś takiego napisać. I co to znaczy „nadproduktywny krytyk”? Pana Bakulę mało kto zna nawet jako nieproduktywnego krytyka. I co to znaczy, że Waśkiewicz obsługiwał „wszelkie możliwe oficjalne tytuły”? O ile nie zawsze i nie we wszystkim z Leszkiem się zgadzam, i o ile różnimy się w wielu opiniach na temat literatury, to tu podpisuję się pod jego oburzeniem. Miałem okazję znać Andrzeja K. Waśkiewicza i to znać przede wszystkim jako najrzetelniejszego z rzetelnych w dziedzinie krytyki. Nie pisał o wszystkim, ale na tym, o czym pisał znał się jak mało kto (chyba jeszcze tylko Zdzisław Brudnicki może się z nim równać). Waśkiewicz był i pozostanie Chodzącą Encyklopedią niezależnie od tego, co jeszcze wymyśli prof. Bakula. Odsyłam go do krótkiej acz treściwej opinii Edwarda Balcerzana, wygłoszonej zupełnie nie *a propos*, nie w sprawie Waśkiewicza, lecz wyłącznie w sprawie literatury: „Któż nie narzeka? Podaż masy tekstowej przekracza możliwości konsumpcyjne najofiarniejszego czytelnika. Dawno temu paru entuzjastów o benedyktyńskiej sile woli miało opinię czytających wszystkie «jak leci» nowości (Andrzej Krzysztof Waśkiewicz i Wojciech Kawiński). Odnosiło się to jednak tylko do poezji”⁸. Jest różnica między *entuzjastą o benedyktyńskiej sile woli* a *nadproduktywnym krytykiem, który obsługiwał wszelkie możliwe tytuły literackie i okołoliterackie*? Jest. Mam nadzieję, że przynajmniej Balcerzana nikt – ze szczególnym uwzględnieniem prof. Bakulę – nie będzie posądzał o „kolesiostwo i kumoterstwo”, co można czynić w odniesieniu do moich i Żulińskiego opinii. Mam nadzieję, że prof. Bakula przynajmniej prof. Balcerzanowi wybaczy *zuchwalstwa* jego *samoświadomości*. Chyba że nie. Cóż, wtedy z Leszkiem Żulińskim będziemy w dobrym towarzystwie. Mówiąc jeszcze inaczej i może w ważniejszej sprawie: wolno mieć Bakule jak najgorsze zdanie o Waśkiewiczu, ale nie wolno mu ze względów dydaktycznych, pedagogicznych i badawczych robić z tego zdania CENZORA! Waśkiewicz kontrowersyjny? A niechby. Czyż to nie wspaśniały temat badawczy właśnie?! A jaka przestrzeń do potyczek krytycznoliterackich, skoro już od razu widać przeciwstawne nastawienie!

⁷ L. Żuliński, *Antywaśkiewicz*, źródło: <http://www.zulinski.pl> [stan z 6.10.2013].

⁸ E. Balcerzan, *Zuchwalstwa samoświadomości*, Lublin 2005, s. 171.

Podsumujmy powody mego utyskiwania na przywołane FAKTY. Pierwszy uwiera mnie ze względu na *niepotrzebną* nierzetelność. Drugim – przepraszam za mocne słowo – brzydzę się. Trzeci niepokoi, bo jest eksplikacją tego, że się wzajemnie nie widzimy. Czwarty zaś odwrotnie, tj. z powodu *nadwzroczności*, Bakula bowiem „zobaczył”, co chciał.

II

Gdzie rwie się nasza komunikacja? Bo że rwie się, pokazują – mam nadzieję – przywołane przykłady. Jeśli spojrzymy na klasyczną sekwencję połączeń w procesie komunikacji, to możemy te miejsca łatwo wskazywać:

1. *powiedziane* – nie znaczy od razu *usłyszane* (możliwe są tu różne powody: lokalność wypowiedzi, wzajemne „niewidzenie się”, świadome lub nie przemilczenia itd.),
2. *usłyszane* – nie od razu znaczy *zrozumiane* (spory o i wokół Tkaczyszyna-Dyckiego czy Jacka Dehnela, mój opór przeciwko zaliczaniu Wiesława Myśliwskiego w poczet „nurtu chłopskiego” trafia w *pustkę niezrozumienia* mimo zgody samego Myśliwskiego⁹),
3. *zrozumiane* – nie znaczy *zaakceptowane* (częsta sytuacja, gdy rozumiemy adwersarza, ale się z nim nie zgadzamy, nie akceptujemy jego stanowiska: doskonale wiem, *co, o czym* i nawet domyślam się *dłaczego* mówi Bakula, ale tego nie akceptuję, nie odmawiając mu prawa do przekonywania, ale musiałby on przejść z poziomu inwektyw i zaciętrzewienia na głębszy poziom dyskusji, którą w przytoczonym wypadku zamknął),
4. *zaakceptowane* – nie znaczy od razu *konsekwentnie stosowane* (łatwo wracam/wracamy do starych przyzwyczajęń, ja na przykład mam kłopot ze stosowaniem koncepcji ANT Bruno Latoura, którą chciałbym przenieść z jego socjologicznych dociekań i zaszczerpić na gruncie literaturoznawstwa; wszyscy (którzy akceptujemy stanowisko Josefa Mitterera o dualizującym sposobie mówienia i kłopotliwych konsekwencjach tegoż sposobu) mamy – ze względu na wielowiekową tradycję posługiwania się językiem – kłopot z *porzuceniem* tego dualizmu).

Jeśli *rozpiszemy* naszą komunikację na czynniki pierwsze, okazuje się, że tych „łączy”, które mogą się zerwać, jest naprawdę wiele i dobrze jest wiedzieć, co się akurat dzieje: czy nie zostaliśmy usłyszani, czy jesteśmy nierozumiani czy też rozumiani ale nieakceptowani.

Krytyka jest praktyką, dlatego wróćmy do potrzebnych w dalszych dociekania przykładów, pomni naszego tytułowego zobowiązania: tylko fakty!

⁹ A. Wołosewicz, *Krótki powrót do niechcianego tematu*, „Migotania, Przejaśnienia” 2008, nr 1–2 (18/19).

Uniwersytet Wrocławski zorganizował konferencję „Nie zawsze fragment. Poezja polska lat pierwszych” poświęconą poezji po 1989 roku¹⁰. W oczekiwaniu na pełny zestaw publikacji z tej konferencji posiłkuję się zapisem dyskusji panelowej¹¹. Anna Kałuża mówi: „Mnie się wydaje, że już nie ma powrotu do sytuacji względnego porozumienia między zainteresowaniem krytyków i zainteresowaniem poetów”¹². A w podsumowującym redakcyjnym komentarzu czytamy – w przytoczonej wypowiedzi Tomasza Kunza – „Jestem głęboko przekonany, że jesteśmy dzisiaj świadkami kompletnego wyczerpania akademickiego dyskursu krytycznoliterackiego. [...] Nasz język, język nowoczesnego literaturoznawstwa, właściwie jest taką twierdzą, okopami Świętej Trójcy, w których mężnie trwamy w poczuciu, że to wciąż jeszcze kogoś obchodzi. Otóż mam graniczącą z pewnością przekonanie, że nie obchodzi – nie obchodzi czytelników, nie obchodzi autorów, o których piszemy. Obchodzi nas samych ze względów czysto pragmatycznych, instytucjonalnych. [...] Bardzo ciekawie mówiła o tym dzisiaj Anna Kałuża w swoim referacie, pokazując, że funkcjonujemy wciąż jeszcze w takim paradygmacie komunikacyjnym, który nie przystaje już do tego wszystkiego, co się wokół nas dzieje”¹³. Nie są to już sprawy błahe. Jeśli nawet tylko część prawdy jest w tych uwagach, jeśli obraz nie jest aż tak czarny (w panelu, do którego nawiązując pojawiały się głosy *na tak*, głosy *pozytywne*), to jednak powodów do spokoju czy zadowolenia zbyt wielu nie mamy. Można nawet, i chyba trzeba, mówić o co najmniej dwóch poziomach, powierzchniowym i głębokim, na których dopadają nas kłopoty z komunikacją. Pierwszy, powierzchniowy, który nazywam tak nie dlatego, że nie ma on głębi, tylko dlatego, że kłopoty tu ujawniane wydają się dość łatwe do przezwyciężenia. Mam na myśli to, że wysiłek komunikujących się stron może te bariery usunąć. Jak? Możemy wszak skupić się i *usłyszeć* interlokutora, *zrozumienie* też jest w naszym zasięgu itd. Ale kłopoty na poziomie drugim, głębinowym, są poważniejsze. Nie będę się nimi tu zajmował, a jedynie wskażę ich głosicieli, zostawiając namysł i wnioski Czytelnikom. Harold Bloom pisze, odpowiadając na własne pytanie: co pozwala krytykom stanąć wyżej od krytykowanych przez siebie dzieł i twórców?, mówi krótko: nic! Louis Borges dorzuca kąśliwe uwagi typu: „Wielu profesorów nie znosi poezji. Na ogół poświęcają się wówczas jej nauczaniu” i „Krótko mówiąc: wyjaśnienie trwoni to, czego strzeże zapis poety. Są to dwa przeciwstawne działania”. Czesław Miłosz mówi: „Wiedzieć i móc przekazać to dwie różne rzeczy, bo istnieje próg uwagi u czytelnika, za którym mowa traci skuteczność”. I wreszcie Krzysztof Gąsiorowski uzupełnia: „Dzisiejszy dialog poetów i krytyków jest smutnym nieporozumieniem, obie strony mówią o czym

¹⁰ Materiały z konferencji jeszcze się nie ukazały, ale miesięcznik „Odra” w swoich numerach 2 i 3 z 2013 roku zamieścił kilka wystąpień i dyskusję.

¹¹ Patrz „Odra” 2013, nr 2 i 3.

¹² A. Kałuża, „Odra” 2013, nr 2, s. 69.

¹³ T. Kunz, „Odra” 2013, nr 3, s. 61.

innym: dramat polega na tym, że krytykom wydaje się, że mówią o poezji”. Pozwolę sobie na dwie krótkie uwagi. Słowa Gąsiorowskiego i uczestników wrocławskiej Konferencji oddziela pół wieku bez mała, możemy więc zasadnie mówić o *ponadczasowej notoryczności narzekania na krytyków*. I rzecz ważniejsza, ranga postaci, które wyżej zacytowałem, nie pozwala na lekceważenie ich zdania, a to, co mówią, świadczy – moim zdaniem – o czymś, co nazywam *pęknięciem tektonicznym* między twórcami a krytykami. Jeśli Borges, nazywając aktywności poety i krytyka, mówi o dwóch *przeciwstawnych sobie działaniach*, to naprawdę mamy PROBLEM. Opiszmy wagę tego problemu. Jeśli *pęknięcie tektoniczne* jest rzeczywiście faktem – a chcę mocno zaznaczyć, że, moim zdaniem, wystarczającym potwierdzeniem jego istnienia jest zdanie/opinia twórców (bo jeśli traktujemy siebie wzajemnie poważnie, a to warunek konieczny rozmowy w ogóle, dzięki któremu pokonujemy pierwsze dwa z wymienionych wyżej zagrożeń komunikacyjnych, to nie może być inaczej) – to nikt nie buduje mostów nad *pęknięciem tektonicznym*. To co my wtedy robimy? Stoimy na obu brzegach – nie wiadomo jak daleko oddalonych od siebie! – i rozmawiamy? Czy, skoro ustaliliśmy, że mostów nad *tektonicznym pęknięciem* nikt przy zdrowych zmysłach nie buduje, robiąc to, jesteśmy chorymi/zwariowanymi budowniczymi podobnymi krawcowi nowych szat króla z bajki Andersena? Czy zatem zajmując się krytyką, z konieczności przenosimy się w krainę bajek? Jeśli tak, czym są wtedy nasze oczekiwania i jakie mamy możliwości działania? Domagamy się poważnego traktowania, będąc dla rzeczywistości postaciami innego, bajkowego świata? Chcemy być słyszalni i mieć na nią realny wpływ? Tylko pytam... Problem ten domaga się zupełnie poważnego, teoretycznego namysłu, który tu muszę odłożyć.

Drugim przykładem kłopotów z poziomu głębinowego jest Stanley Fish, a właściwie przygody jego myśli analizowanej najczęściej na przykładzie jednego tekstu (myślę tu o tekście *Czy na tych ćwiczeniach jest tekst?*¹⁴). Nie zamierzam wracać do tekstu¹⁵, chcę tylko zwrócić uwagę na kłopot, jaki mam z owym *najczęściej*. Słynny przykład z ewidentnym „nie-wierszem”, będącym zapisem nazwisk z poprzednich, dotyczących czegoś innego zajęć ze studentami, bywa przedmiotem obróbki polegającej na dowodzeniu, że także na naszym polskim gruncie można zafundować podobne podchwytliwe ćwiczenie. I co z tego? Moją uwagę zwraca swoiste nadużywanie tego przykładu jako *podatnego na krytykę*, przy zupełnym pomijaniu innego przykładu z Fisha¹⁶, tego, gdy przywołuje on

¹⁴ S. Fish, *Czy na tych ćwiczeniach jest tekst?*, tłum. A. Szahaj, „Teksty Drugie” 2000, nr 3.

¹⁵ Wśród estetyków wzbudził on zainteresowanie wcześniej, patrz O. Kenshur, *Retoryka niewspółmierności*, [w:] *Estetyka w świecie III. Wybór tekstów*, red. M. Gołaszewska, seria: Skrypty Uczelniane Uniwersytetu Jagiellońskiego, nr 648, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1991, s. 237–248.

¹⁶ Oczywiście mówiąc o pomijaniu, mówię o tym, że ja nie trafiłem dotychczas na żadne odniesienie, co nie znaczy, że w ogóle ich nie było. Jeśli były, proszę o informację (awolosewicz@poczta.onet.pl).

wiersz Williama Blake’a *Tygrys* w interpretacjach Erica D. Hirscha i Kathleen Raine, różniących się od siebie tym, że są właściwie sprzeczne! Oboje znakomici, uznani krytycy opierają swoje – wykluczające się, przypominam! – odczytania na analizie słowa „lasy”. Jeden wiersz, jedno słowo, dwa odczytania różniące się jak A i nie-A! Analiza tego właśnie przypadku, a nie możliwych kombinacji z nazwiskami z pierwszego przykładu, pokazuje dobitnie, na czym polega i do czego odwołuje się sposób myślenia Fisha. Pokazuje na tyle dobitnie, że, usuwa/mogłaby usunąć kłopoty z komunikacją z poziomu *usłyszane* nie znaczy *zrozumiane* – odpowiadające, według mnie, za wszelkie nieporozumienia i całe zamieszanie wokół Fisha – i przenosi je/mogłoby przenieść na poziom *zrozumiane* nie znaczy *zaakceptowane*, poziom, na którym różnice są już z krytyczno-literackiego punktu widzenia akceptowalne.

III

Co w tej sytuacji robić? Działać, na miarę swoich możliwości, usuwając kłopoty komunikacyjne powstające na wszystkich czterech *łąkach* i na obu – powierzchniowym i głębinowym – poziomach. Działać według zasady, że nawet przy skromnych możliwościach (a tak oceniam swoje) w pomysłach już skromnym być nie trzeba, a nawet nie należy, pozostając z nadzieją, że mogą je podchwycić ci, których możliwości realizacyjne przerastają znacznie nasze (tu – moje). Co ja robię? Wykorzystuję pełnione funkcje redakcyjne w kwartalnikach „Aspekty Filozoficzno-Prozatorskie” i „Migotania”, i na portalach, z którymi współpracuję (www.literaci.eu i www.pisarze.pl). Dzięki temu mogę operować konkretnymi nazwiskami poetów, którzy dzięki mnie na wymienionych łamach zaistnieli: Małgosia Lebda, Agnieszka Marek, Agnieszka Syska, Anka Kowalska, Joasia Bąk, Zdzisław Drzewiecki, Jacek Karolak, lub których przypomniałem światu, wyciągając z literackiego niebytu: Wiesław Sokołowski, Jan Marszałek, Kazimierz Ratoń. Warto zapamiętać niektóre z tych osób. Część już ku mojej radości (Małgosia Lebda, Agnieszka Syska) wybiła się na literacką niepodległość. Przed innymi długa droga, ale już na nią wkroczyły: Agnieszka Marek wygrała konkurs na publikację debiutanckiego tomiku, Joasia Bąk stara się o stypendium fundacji uruchomionej przez Michała Rusinka zgodnie z wolą Wisławy Szymborskiej.

Myślę na początek o trzech rzeczach istotnych przy poszukiwaniu dróg wyjścia z zarysowanych kłopotów.

1. Uciekać, jak chce Rorty, od sporów niekonkluzywnych. Warto mieć tę zasadę Rorty’ego zawsze z tyłu głowy. Inaczej w końcu gdzieś zawiśniemy między Platonem a Arystotelesem, między Kantem a Heglem, między Leibnizem a empirystami angielskimi czy między: tu każdy z nas zapewne może wstawić dowolnie dużo par nazwisk związanych z literaturoznawstwem, z konkretną dziedziną, którą się zajmuje.

2. Stosować zasadę – lepiej mniej, ale lepiej. Przywołam jeszcze raz jednego z dyskutantów wrocławskiej konferencji: „Chyba wszyscy zgodzimy się co do tego, że sam mechanizm syntezy jest dość łatwy do wykorzystania. Rzeczywiście, zebrać i zsumować nie jest tak trudno, jak rzetelnie i trafnie napisać o jednym poecie”¹⁷.
3. Pytać wzajemnie o własne słowniki finalne (by znów odwołać się do Rorty’ego). Pytać nie dlatego, że da się je uzgodnić, sprowadzić do jednego (szerszego?), choć być może warto żywić taką nadzieję i w jej kierunku działać, ale pytać przede wszystkim dlatego, że **tam** jest **najwięcej spraw do odkrycia**.

Sądzę, że te kierunki wskazuje w swojej mrówczej (ANT) pracy Bruno Latour i zwolennicy – do których należę – jego sposobu drażenia tematów. Podaję przykładowe pytania, które wtedy się pojawiają. Co robimy, gdy czytamy? Co *robią* narzędzia naszej krytycznoliterackiej analizy? Co wiersz *robi* z nami? Czy/jak autor widzi czytelnika? Co się dzieje między tekstem *napisanym* a *prze-czytanym*? To ostatnie pytanie pozwala mi na zaproponowanie kilku ćwiczeń na tekstach, na wierszach, które możemy przeprowadzić. Jest to jednocześnie moment przejścia do ostatniej, czwartej części tytułowych rozważań.

IV

Czy można nauczyć/nauczyć się roboty krytycznej? Czy możemy stworzyć model „maszyny krytycznej”? Ponieważ niektórzy piszą, jak wymieniany już tutaj Żuliński, różne wskazówki dla krytyków¹⁸, ja też pozwolę sobie na wskazanie sposobów zajmowania się literaturą, krytyką, analizą tekstów, sposobów, które – w jakimś przynajmniej stopniu – posuwają sprawy krytyki literackiej do przodu.

Po pierwsze, popieram wszelkie ćwiczenia „*a la Fish*”, ponieważ wprowadzają one wszystkie strony takich działań niemalże do *wnętrza tekstu*. Moje przykłady takich ćwiczeń to:

- a) napisać usłyszany wiersz – kwestia wersyfikacji,
- b) dawać teksty „kłopotliwe” w ocenie, czy to jest wiersz, czy nie,
- c) teksty czytać głośno (wcale nie jest to takie powszechne, proszę sprawdzić samego siebie – jak często czytamy sobie głośno wiersze?). Wojciech Siemion w swoich gościnnych Petrykozach zawsze prosił poetów, naszych zagranicznych gości Warszawskiej Jesieni Poezji, by czytali wiersze w swoich ojczystych językach (wietnamskim, chińskim, węgierskim czy fińskim). On potem czytał ich polskie przekłady. Robił tak, bo chciał usłyszeć melodie,

¹⁷ P. Kaczmarek, „Odra” 2013, nr 2, s. 66.

¹⁸ Np. L. Żuliński na wspomnianym już swoim blogu.

temperaturę, brzmienie oryginału. Pamiętam, jakie zdziwienie wywołał, gdy zaczynając czytać wiersz polskiego poety, obecnego zresztą Marka Wawrzekiewicza, zaznaczył, że czyta *sam*, bo Marek nie zdążył mu tego wiersza wcześniej przeczytać! On, niezapomniany Mistrz Słowa, od którego uczyliśmy się, czym jest żywa poezja, chciał usłyszeć! Przecież nie dlatego, by uczyć się od kogoś recytacji (niektórzy źle czytają nawet swoje wiersze), ale z przekonania, że w żywą mowę trzeba się wsłuchiwać, że puls i tętno wiersza dopiero w niej się ujawnia – potem dopiero wkraczał on, Wojciech Siemion.

Główne zadanie takich działań, to wskazanie na *dynamizm* wszystkiego, co się z literaturą dzieje wtedy, gdy się dzieje. Tym samym wskazuję na kierunek mocno akcentowany przez wywoływanego już do tablicy Bruno Latoura (choć w badaniach społecznych, a nie literaturoznawczych). Czynię tak ze względu na następujące walory metody jego działań:

1. skrupulatność i drobiazgowość opisu wszystkich kroków, jakie w swoich badaniach czynimy pozwalające na
2. śledzenie zawiązujących się (lub nie) wiązań/relacji między stronami dyskursów,
3. uporczywe odróżnianie – w relacjach między stronami dyskursu – mediacji od pośrednictwa we wszelkich ustaleniach i dociekaniach,
4. hiperdokładne opisywanie kontrowersji i wszelkich źródeł niepewności (tu dodałbym od siebie: w miejsce nic nie wyjaśniających przeskoków intelektualnych).

Można to podsumować tak: poruszajmy się od konkretnego do konkretnego. Ostrożnie, bardzo ostrożnie z uogólnieniami. „Ten sam wiersz” czytany przez nas dwa razy niekoniecznie jest „tym samym wierszem”. Zatem nie sformułuję ogólników pod adresem krytyki literackiej. Henryk Elzenberg przed pół wiekiem w tekście *Nauka o literaturze czy krytyka literacka?* odpowiadał na swoje pytanie – krytyka literacka. Kazimierz Wierzyński (w *Pamiętnikach*) odsądzał krytykę od czci i wiary za jej „głuchotę”¹⁹. Mamy zbyt dużą rozpiętość, bym udawał, że w niniejszym tekście coś rozstrzygnę. Dlatego patrzmy sobie wzajemnie (wszyscy wszystkim: krytycy literaturoznawcom i odwrotnie, autorzy krytykom, krytycy autorom itd.) na ręce, rozmawiajmy o konkretach²⁰. Inaczej będziemy poruszać się ruchem wahadłowym, popadając ze skrajności w skrajność.

Wśród wytycznych, o których chcę jeszcze powiedzieć, na poczesnym miejscu jest ta, którą uparcie powtarzam, gdzie tylko mogę. Idzie o przytaczanie ca-

¹⁹ Patrz K. Wierzyński, *Pamiętnik poety*, Warszawa 1991, s. 143–144.

²⁰ Przykładem niepochwalonej przeze mnie niekonkretności jest wypowiedź Andrzeja Sosnowskiego, będąca jego odpowiedzią na ankietę *Nowa „scena poetycka”*, który mówi: „Myślę, że «scena poetycka» w minionej dekadzie była interesująca – pojawiło się kilka nowych nazwisk na okładkach ciekawych książek, które nie są «automatyczne, modne, powtórkowe», a publikacje niektórych ludzi «nienowych» też chwilami nieźle się prezentowały”. „Odra” 2013, nr 2, s. 82). **I... nie podaje ani jednego nazwiska!**

tego wiersza, o którym mówię czy piszę. Ukulem nawet stosowny termin, który lansuję: wiersz jest jednostką rozrachunkową w rozmowie poety ze światem. Dlatego nie można naruszać jego „jednostkowości” przez wybiórcze cytowanie fragmentów, nawet jeśli wystarczają one cytującemu. Nie można robić tak i przez szacunek dla czytelnika (by mógł on porównać naszą opinię w wierszu ze swoją tegoż wiersza lekturą) i przez szacunek dla autora omawianego wiersza.

Teraz o kilku pomysłach, na których realizację nie mam żadnego wpływu ani pomysłu, jak by można je skutecznie przeprowadzić, ale chcę, żeby wybrzmiały. Może podchwyci je ktoś skuteczniejszy ode mnie? Pierwszy dotyczy platformy Wymiany Poetyckiej dotyczącej konkursów. Kłopot z tym mam taki, że widzę protokoły komisji konkursowych, mogę poznać nazwiska i miejsca laureatów a... rzadko kiedy mogę przeczytać wiersze! Czasami udaje się poprzez tzw. publikacje pokonkursowe, ale nie wszyscy to robią, a jeśli już, to ich dostępność jest delikatnie mówiąc słaba. (Na marginesie: rozwiązywałoby to kłopot organizatorów z uczestnikami, którym zdarza się łamać regulamin najczęściej – i słusznie – niezezwalający na wystawianie w konkursowe szranki wierszy, które już były nagradzane). Drugi pomysł, chyba jeszcze trudniejszy w realizacji, oby nie beznadziejny!, dotyczy publikowania przy wydawanych tomikach tego, co kiedyś było codzienną praktyką, utartym zwyczajem: wewnętrznych recenzji wydawniczych. Teraz tomik może wydać każdy. Wystarczy, by mógł zapłacić Wydawcy. Niektórzy nawet płacą za „zaprzyjaźniony” wstęp czy posłowie. Jak w tak nienormowanej czymkolwiek rzeczywistości wydawniczej mieć elementarne zaufanie do jakości wydawanej poezji? Jak pomóc czytelnikowi, który nie ma rozeznania na rynku, nie zna mechanizmów selekcji (a właściwie – poza finansowymi – ich braku), a stoi przed półką z książkami? Żeby był dobrze rozumiany – nie myślę o jakiegokolwiek cenzurze, myślę o prewencji, o ochronie czytających przed pułapkami. Kiedyś wydanie tomiku równoznaczne było z elementarnym znakiem jakości. Mówimy więc o swego rodzaju – by użyć porównania do produktów żywnościowych – przydatności do spożycia. Dlaczego pokarm dla duszy ma mieć słabsze gwarancje takiej przydatności? Gdybyśmy wypracowali dobry zwyczaj podawania wewnętrznych recenzentów, którzy wzięliby tym samym na siebie publiczną odpowiedzialność za promowanie danego autora, którzy ryzykowałiby swoim nazwiskiem, może byłoby lepiej, a przynajmniej uczciwiej i przejrzysiej? Pamiętam, jak Krzysztof Zuchora w początkach naszej znajomości pokazał mi trzy pożółkłe kartki, które przechowywał niczym talizman. Były to właśnie krótkie, jedna na stronę, druga na półtorej strony, wewnętrzne recenzje wydawnicze, gdy ten młody wówczas poeta przed debiutem zaniósł był swój tomik do wydawnictwa Czytelnik. Były to rzeczowe, miejscami z krytycznymi uwagami, wypowiedzi Andrzeja Tchórzewskiego i Stanisława Grochowiaka. Tomik się ukazał. Zaszкодziłoby komuś odświeżenie tego obyczaju?

I ostatnia już uwaga. Cokolwiek robimy, zajmując się literaturą, róbmy to dobrze, co znaczy też delikatnie. Przykładanie literatury do ustalonych – nawet własnych, a może własnych przede wszystkim – rozpoznań raczej wiąże z uśmiercaniem wiersza. Oczywiście można motyla przyszpilić, pokroić i przeświecić, ale przecież nie to nas w nim fascynuje.

Abstract

Ciricism under Fire – Just the Facts

The article deals with problems of Polish literary criticism in recent years. I am looking for ways to solve these problems by referring to ANT Bruno Latour and pragmatism of Richard Rorty.